

RUSŁAN SZOSZYN

Możliwości i zarazem szanse polskiej polityki wschodniej kończą się na linii frontu w Donbasie oraz na granicy białorusko-rosyjskiej. Dla Białorusinów czy Ukraińców Polska wciąż jest „oknem na Zachód”, dla niektórych Rosjan – bastionem rusofobii.

DROGA DO EUROPY WIEDZIE PRZEZ WARSZAWĘ

18 marca 1921 roku w łotewskiej stolicy podpisano traktat ryski, który zakończył wojnę polsko-bolszewicką i wyznaczył granicę II Rzeczypospolitej. Dokument ostatecznie pogrzebał koncepcję federacyjną Józefa Piłsudskiego, ale też pokrzyżował niepodległościowe aspiracje Białorusinów i Ukraińców. Rozwiane zostały kruche nadzieje na całkowite rozbicie Armii Czerwonej w sojuszu z „białą” Rosją. Carscy generałowie ślepo wierzyli w możliwość uratowania imperium, nie traktowali młodego państwa polskiego poważnie i nie dawali mu szans. Podobnie jak Lenin, który zawierając pokój z Warszawą był przekonany, że nowe granice Polski nie będą trwałe i że za jakieś pięć lat cała Europa i tak będzie przefarbowana na „czerwono”. Po części miał rację. Po niespełna dwóch dekadach Europa stała się co prawda brunatno-czerwona, a Polska znalazła się pod okupacją.

Zarysy nowego wolnego państwa powstawały już poza jego granicami, podobnie jak fundamenty nowej polityki zagranicznej. Koncepcję tej wschodniej najtrafniej sformułowali na łamach paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc wraz z Juliuszem Mieroszewskim – suwerenność Ukrainy, Litwy i Białorusi sprzyja niepodległości Polski, lecz ich zdominowanie przez Rosję otwiera drogę do zniewolenia także Rzeczypospolitej. Litwa i Polska są dziś częścią Unii Europejskiej. Ukraińcy i Białorusini, po stu latach od podpisania traktatu ryskiego, wciąż walczą o wolność, licząc na wsparcie Warszawy. A co z Rosją? Polska jest dzisiaj gdzieś na peryferiach zainteresowań tamtejszych polityków, również tych przeciwnych Putinowi.

Trójkąt Lubelski

Ponad 100 lat po klęsce Imperium Rosyjskiego i 30 lat po upadku Związku Radzieckiego w Kijowie nadal ostrzegają Europę przed ekspansją Rosji. – Ukraina i wszystkie kraje w naszym regionie wciąż walczą o swoją niepodległość – przekonywał ostatnio na łamach „Rzeczpospolitej” Ołeksij Reznikow, wicepremier rządu w Kijowie. Wie, o czym mówi, bo zajmuje się terytoriami okupowanymi przez armię rosyjską, czyli Krymem i Donbasem. Pracuje nad planami reintegracji tych terenów, na razie w bardzo odległej perspektywie. Nad Dnieprem nie mają dzisiaj wątpliwości co do tego, że kluczem do rozwiązania problemów Ukrainy są czasochłonne reformy i zaawansowana integracja z Unią Europejską. A droga do

wspólnoty prowadzi ich zdaniem właśnie przez Polskę.

– Już na początku tego wieku Polska stała się dla Ukrainy przykładem skutecznej integracji europejskiej, skutecznych reform. Warszawa dała nam dobry przykład tego, jak i w jakim kierunku trzeba się rozwijać. Z kolei szybkie zwiększenie liczby Ukraińców pracujących nad Wisłą również przełożyło się na pozytywny wizerunek Polski na Ukrainie. Wielu moich rodaków na własne oczy doświadczyło tego, jak się żyje i jak się pracuje w Polsce. Przekonali się też, że skala korupcji nad Wisłą jest nieporównywalnie mniejsza – mówi „Plusowi Minusowi” Wołodmyr Fesenko, czołowy kijowski politolog. – Nawet za rządów Wiktora Janukowycza (zbiegłego do Rosji po rewolucji w 2014 roku – red.) mieliśmy dobre relacje z Polską. Od lat była uważana za adwokata Ukrainy w Europie. Ale atmosfera tych relacji nieco się pogorszyła, gdy obecne władze w Warszawie zaczęły akcentować bolesne momenty wspólnej historii. Poza tym ochłodziły się relacje władz Polski z UE, co też nie było na rękę Ukrainie. Kijów coraz częściej rozmawia z Brukselą bezpośrednio, ale Polska i państwa bałtyckie, a w szczególności Litwa, nadal są głównymi partnerami Ukrainy w UE – podkreśla.

Jego zdaniem wspieranie niepodległego i europejskiego państwa nad Dnieprem leży w interesach Warszawy. – Ukraina stała się dla Polski dostawcą siły roboczej. To m.in. dzięki temu w ostatnich latach Polska mogła się szczyć wzrostem gospodarczym. Ukraińcy uzupełnili lukę na rynku pracy w Polsce, która powstała w wyniku wyjazdu polskich pracowników do innych państw UE. Ale nie chodzi tylko o to – mówi Fesenko. – Tworząc Partnerstwo Wschodnie, Polska zapowiadała się na regionalnego lidera, głównego moderatora wschodniej polityki Unii Europejskiej. To miało ogromne znaczenie geopolityczne przede wszystkim dla Warszawy, zwiększyło jej rolę w światowej polityce.

W Kijowie nie mają jednak złudzeń, że Partnerstwo Wschodnie, które było dziełem polskiej dyplomacji i miało umożliwić integrację z UE państwom byłego ZSRR, już od jakiegoś czasu stoi w ślepych zaułku. Przede wszystkim dlatego, że projekt łączy kraje o zupełnie odmiennych ustrojach, z często sprzeczną polityką zagraniczną. Podczas gdy Mołdawia, Ukraina czy Gruzja deklarują gotowość przystąpienia do UE, dyktatura Aleksandra Łukaszenki na Białorusi, autorytarny Azerbejdżan İlham Alijewa czy uzależniona militarnie od Rosji Armenia mają już nieco inne priorytety. Poza tym nic nie wskazuje na to, że przeżywająca największe w swojej historii turbulencje UE (kryzys migracyjny, pandemia, brexit) w najbliższej przyszłości

otworzy swoje drzwi dla kolejnych, nawet najbardziej zdeterminowanych członków, mających zresztą olbrzymie problemy wewnętrzne. Stąd nad Dnieprem coraz częściej mówi się o Trójkącie Lubelskim, który został powołany latem ubiegłego roku przez ministrów spraw zagranicznych Polski, Litwy i Ukrainy.

– Wszystkich nas łączy wspólna przeszłość historyczna. To region, od sytuacji w którym będzie zależało, czy Unia Europejska poszerzy się na Wschód. Trójkąt Lubelski ma duży potencjał dla naszej współpracy, będzie miał przełożenie na relacje UE z Rosją. Ale jest też cienka granica, której nie można przekroczyć. To nie może zostać potraktowane przez Warszawę jako próba odbudowy Rzeczypospolitej z kluczową rolą Polski. Z takim podejściem nie zgodzą się ani Ukraińcy, ani Litwini. Możemy rozmawiać wyłącznie na równych prawach, koordynować naszą politykę zagraniczną i rozwijać potencjał współpracy gospodarczej. Pamiętajmy też o tym, że w perspektywie do tej współpracy może dołączyć Białoruś – mówi nasz rozmówca.

Białoruskie nadzieje

Nieoficjalnie Białoruś już do tego grona dołączyła, przynajmniej jej demokratyczna część. Pod koniec stycznia przebywająca na Litwie liderka białoruskiej opozycji demokratycznej Swiatłana Cichanouska uczestniczyła w rozmowach szefów dyplomacji Trójkąta Lubelskiego. Jej otoczenie nie ukrywa, że wolna Białoruś wiąże duże nadzieje z Unią Europejską, a w szczególności z Warszawą. – Represje, które dzisiaj mają miejsce na Białorusi, są bezprecedensowe, to wyzwanie dla całej Europy, a przede wszystkim jej wschodniej części. Takich represji nie było nawet w czasach polskiej Solidarności. I dzisiaj to na barkach Polski leży ratowanie Białorusinów, pomaganie nam i wspieranie na arenie międzynarodowej. Przez lata Polska świetnie się spisywała w roli adwokata walczących o wolność Białorusinów – mówi „Plusowi Minusowi” Franak Wiaczorka, doradca Cichanouskiej ds. międzynarodowych. – W interesach Polski leży wsparcie opozycji demokratycznej na Białorusi, by na wschodzie graniczyć z przewidywalnym sąsiadem – dodaje.

A jak na razie wygląda na to, że na wolnej Białorusi w Europie zależy głównie Litwinom i Polakom. Litwini, przysparzając wypchniętą z kraju siłą liderkę białoruskiej opozycji, okazują jej wsparcie dyplomatyczne i pozwalając na rozmieszczenie w Wilnie sztabu przeciwników reżimu, na dobre zepsuli swoje relacje z Mińskiem. A niedawno Łukaszenko

hojnie się odwdzięczył i przekierował eksport płynących do Europy ropy i benzyny, wyprodukowanych w białoruskich rafineriach, z portu w Kłajpedzie do portów rosyjskich w obwodzie kalininogradzkim, narażając litewskich partnerów na wielomilionowe straty.

Polska z kolei była i wciąż pozostaje głównym sponsorem białoruskich inicjatyw demokratycznych i wolnych mediów. Tylko w ubiegłym roku budżet nadającej z Warszawy jedynej białoruskojęzycznej niezależnej telewizji Bielsat (powstała w 2007 roku) wyniósł niemal 40 mln zł. Większość tych pieniędzy pochodzi z MSZ. Polscy podatnicy finansują też niemal w całości takie niezależne białoruskie media jak Radio Racja, Europejskie Radio dla Białorusi (Euroradio) czy wyrzucony z kraju niezależny portal Karta97 (charter97.org). Do tego dochodzi rządowy i niezwykle kosztowny program im. Kalinowskiego, dzięki któremu setki represjonowanych Białorusinów zdobyły wykształcenie wyższe w najlepszych polskich uczelniach.

To w warszawskiej fundacji Białoruski Dom (wspieranej przez państwo polskie) mieści się redakcja najbardziej zniechędzającego przez reżim Łukaszenki blogera Sciapana Pucyły (Nexta), za którym Mińsk wysłał międzynarodowy list gończy. Co więcej, we wrześniu do dyspozycji przeciwników reżimu premier Mateusz Morawiecki przekazał willę na Saskiej Kępie, gdzie wcześniej była m.in. ambasada Tunezji.

Biorąc pod uwagę liczbę fundacji i instytucji działających w Polsce na rzecz walczących o wolność Białorusinów, rocznie państwo polskie wydaje na ten cel dziesiątki (a może i więcej) milionów złotych. A ile milionów euro przyznali na wolną Białoruś Brytyjczycy, Niemcy, Francuzi, Austriacy, Włosi, Belgowie, Holendrzy czy Hiszpanie? Po wyborach na Białorusi UE przyznała na wsparcie Białorusi 53 mln euro, z czego początkowo jedynie 3,7 mln euro miało trafić do represjonowanych oraz zasilić wolne media. Pod presją mediów kwotę jednorazowego programu pomocowego zwiększono do 24 mln euro (reszta pójdzie na walkę z pandemią i prawdopodobnie trafi – albo już trafiła – w ręce białoruskich władz). Mniej więcej tyle na wsparcie wolnej Białorusi Polska wydaje za pewne rocznie.

– Nikt w UE tak nie rozumie Białorusi jak nasi sąsiedzi, którzy mieli podobne doświadczenia historyczne. Myślę, że każdy Polak wie, co się dzisiaj dzieje na Białorusi. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że samego wsparcia Polski czy państw bałtyckich nie wystarczy, by zwyciężyć. Potrzebujemy konsolidacji krajów Zachodu, by presja na reżim w Mińsku była jak najbardziej mocna i skuteczna – mówi Wiaczorka. – Niestety



– To dzisiaj na barkach Polski leży ratowanie Białorusinów, pomaganie nam i wspieranie na arenie międzynarodowej – mówi opozycjonista Franak Wiaczorka. Na razie wygląda na to, że na wolnej Białorusi w Europie zależy głównie Litwinom i Polakom

dzisiaj świat wobec reżimu w Mińsku nie wprowadził żadnych poważnych sankcji gospodarczych. Są jedynie sankcje finansowe związane z rachunkami w UE kilku białoruskich firm. Zachód nie wykorzystał wszystkich możliwości, by przekonać dyktatora chociażby do wstrzymania represji i uwolnienia więźniów politycznych. Poważne sankcje trzeba było wprowadzać jeszcze wczoraj, przede wszystkim wobec oligarchów związanych z reżimem oraz białoruskich rafinerii, na których opiera się model gospodarczy Łukaszenki – dodaje.

Weteran białoruskiej opozycji demokratycznej i rywal Łukaszenki w wyborach 2006 roku Aleksander Milinkiewicz dzisiejszą sytuację na Białorusi porównuje do wydarzeń nad Wisłą sprzed 40 lat. – Zbliżamy się do sytuacji podobnej jak w 1981 roku, gdy w Polsce wprowadzono stan wojenny. Polacy świetnie rozumieją, że wolność i demokracja nie przychodzą szybko. To nie wybuch terrorystyczny, który można wyznaczyć na konkretny dzień. Polska jest jedynym krajem na świecie z długoterminowymi i strategicznymi programami wspierającymi demokratyzację Białorusi. Kiedyś, prędzej czy później, taka polityka odniesie sukces – mówi „Plusowi Minusowi” Milinkiewicz. Jest on współtwórcą programu stypendialnego im. Konstantego Kalinowskiego, a jesienią powołał do życia Wolny Uniwersytet Białoruski we współpracy ze Studium Europy Wschodniej UW. Projekt ma umożliwić młodym i zdolnym Białorusinom otrzymanie zdalnego wykształcenia na europejskich uczelniach wyższych. Cel jest bardzo ambitny: wykształcenie przyszłych kadr zarządzających demokratycznym państwem białoruskim. – Programy edukacyjne, oświata i odrodzenie kulturalne są dzisiaj dla Białorusinów najważniejsze. Polacy świetnie rozumieją, jak ważna jest świadomość narodowa i historyczna, zwłaszcza w warunkach, gdy niepodległość kraju jest zagrożona – twierdzi.

Polityka Warszawy, wspierająca białoruską opozycję, już przynosi plony. Z niedawnych badań OSW wynika, że ponad połowa Białorusinów pozytywnie

ocenia polską politykę wobec wydarzeń na Białorusi z ostatnich miesięcy. Co ciekawie, więcej Białorusinów zadeklarowało chęć pracy w Polsce (41 proc.), niż w Rosji (30 proc.), z którą nie mają granicy i nie muszą wyrabiać wizy.

To ewidentnie irytuje reżim Łukaszenki. Polska stała się dla niego głównym wrogiem. Kolejne manewry wojskowe (już drugie po wyborach w sierpniu) przeprowadził kilka dni temu w okolicy Grodna. Od miesięcy próbuje przekonać rodaków, że na terenie Polski i Litwy, tuż przy granicy z Białorusią, gromadzą się „wrogie siły zbrojne”. – To człowiek sowiecki, stalinista. Ma ograniczony dostęp do obiektywnej informacji, opiera się na porannych doniesieniach służb, mocno tendencyjnych. Myślę, że to nie jest gra, on szczerze wierzy w to, że Polska chce przejąć zachodnie ziemie Białorusi. To przykre, ale on przestał adekwatnie oceniać rzeczywistość, nie wierzy w to, że naród już go nie kocha. Nie siądzie do okrągłego stołu – mówi Milinkiewicz. – Prędzej czy później wolność nadejdzie. Dzięki wsparciu Moskwy reżim przetrwa jeszcze jakiś czas, ale tam mają własne problemy: nadchodzące wybory parlamentarne, pogarszająca się sytuację gospodarczą i Nawalnego – wskazuje.

Tęsknota za imperium

W moim biurze w Moskwie wisi plakat polskiej Solidarności z 1989 roku z podpisem Bogdana Borusewicza. Polska przeszła w latach 80. trudną drogę i dobrze rozumie, czym jest reżim autorytarny, pamięta czołgi i rozpędzających demonstracje milicjantów. Dlatego jest solidarna z narodami, które tę drogę dzisiaj przechodzą. Jesteśmy za to wdzięczni – mówi „Plusowi Minusowi” Ilja Jaszyn, burmistrz rejonu (dzielnicy) krasnosielskiego w Moskwie, były współpracownik zamordowanego w 2015 roku Borysa Niemcowa i jeden z kluczowych działaczy

opozycji demokratycznej. Jest przyjacielem najpierw otrutego, a później skazanego na 2,5 roku łagrów Aleksieja Nawalnego. Ale, w odróżnieniu od naszych białoruskich czy ukraińskich rozmówców, nie wiąże nadziei z polską polityką wschodnią.

– Liczymy wyłącznie na naród rosyjski, który wreszcie powinien zrozumieć, co się dzieje w naszym kraju, i zrobić porządek we własnym domu. Do demokratyzacji Rosji dojdzie wtedy, gdy Rosjanie sami tego zechcą, dopiero wtedy pojawią się u nas demokratyczne instytucje – mówi.

Jeden z naszych rozmówców, dobrze zorientowany w rosyjskiej rzeczywistości politycznej, tłumaczy, że Polska nie odgrywa znaczącej roli dla przeciwników Władimira Putina. Nie jest tam też traktowana jako istotny partner do rozmów. – Ktoś inny rozdaje karty, liczą się Niemcy, Francja, Stany Zjednoczone – tłumaczy. A co za tym idzie, skala polskiego wpływu na tamtejszą politykę, w porównaniu z Ukrainą czy Białorusią, mieści się w granicach błędu statystycznego. Podobnego zdania jest znany moskiewski politolog Aleksiej Makarkin, niezależny od Kremla. – Graniczymy z Polską jedynie w obwodzie kaliningradzkim. Dla Ukraińców czy Białorusinów Polska to coś namacalnego, wielu z nich tam pracuje, podróżują, ale nie dla nas. Dla większości Rosjan Polska jest gdzieś daleko – gdybyśmy zapytali Rosjan, w którym obcym kraju chcieliby pracować, raczej nie byłaby popularna. Postrzegana jest jako jeden z byłych krajów obozu socjalistycznego – mówi „Plusowi Minusowi” Makarkin. – Poza tym Rosja historycznie była imperium. Tęsknota za nim zakorzeniła się w rosyjskiej świadomości. Dlaczego dzisiaj nie mamy masowych protestów, jakie były na Ukrainie czy niedawno na Białorusi? Gdy ludziom w Rosji mówi się, że trzeba wyjść na ulice, bo ciężko się żyje, Rosjanin pomyśli, że faktycznie żyje się ciężko, ale przypomni też sobie turbulencje z historii, które doprowadziły do rozłamu kraju i utraty terytorium, m.in. Kijowa i Mińska. Myślą, że jak wyjdą na ulice, to stracą kolejne

tereny, np. Tatarstan, Kaliningrad czy Wyspy Kurylskie. A przecież dopiero Krym odzyskano. Rosjanie nie chcą ryzykować, a jak coś przy okazji wpadnie w ręce, najlepiej bez rozlewu krwi, to też będzie dobrze – rozważa.

Nasz rozmówca przypomina zaś, że Polska o wiele bardziej była obecna w rosyjskiej świadomości u schyłku Związku Radzieckiego. Już dawno nie ma Władimira Wysockiego, nie ma Bułata Okudźawy, nie żyje też większość rosyjskich dysydentów, którzy osobiście znali się z wieloma działaczami Solidarności. – Wtedy, jeżeli radziecki człowiek chciał odwiedzić Zachód, jechał właśnie do Polski albo do państw bałtyckich. Była ogromna wymiana edukacyjna i kulturalna. Był też Jan Paweł II, który cieszył się popularnością – wspomina moskiewski analityk. – Dzisiaj wydarzenia w Polsce są gdzieś na peryferiach zainteresowań Rosjan. Nawet liberalna część rosyjskiego społeczeństwa niezbyt się tym przyjmuje. Rosyjski opozycjonista już wielokrotnie był w Paryżu czy Berlinie, który kiedyś był podzielony. Polska nie jest już dla nas oknem na Zachód – mówi analityk.

Sympatyzujące z Kremlem środowiska są nasycone narracją antypolską i nawet nie ukrywają swojego negatywnego nastawienia wobec polityki wschodniej Warszawy. Takie polskie pomysły jak Partnerstwo Wschodnie, Trójkąt Lubelski czy Trójmorze wywołują tam jedynie irytację. – Polska chce stworzyć nowe imperium z centrum w Warszawie, odbudować Rzeczpospolitą. Tu nie chodzi o rozwój Ukrainy czy Białorusi, lecz ich eksploatację, by służyły interesom Polski. To zagrożenie dla Rosji – mówi „Plusowi Minusowi” Siergiej Markow, związany z Kremlem politolog. – Jakie w Moskwie jest nastawienie do Polski? Jest w Europie przodownikiem rusofobii, której nie ma w Niemczech czy we Francji. Tam, w odróżnieniu od Warszawy, prowadzą odpowiedzialną politykę i wiedzą, że chodzi o los Europy – twierdzi człowiek, który gorąco popierał okupację Krymu i wojnę w Donbasie. ©